

ALEKSANDER
ŚWIĘTOCHOWSKI

KARL KRUG

Aleksander Świętochowski

Karl Krug

«Public Domain»

Świętochowski A.

Karl Krug / A. Świętochowski — «Public Domain»,

Kolejna opowieść, w której autor wzywa do solidarności ludzkiej ponad podziałami narodowymi i religijnymi. Murarz ze Śląska, kiepsko i po polsku, i po niemiecku mówiący, przyjeżdża do Warszawy za pracą. Karl Krug wśród Niemców uchodzi za Polaka, wśród Polaków — za Niemca. Podwójnie wyobcowany musi jednocześnie służyć za pośrednika pomiędzy narodami. Ta rola szybko okazuje się być przepisem na kłopoty. Aleksander Świętochowski był wpływowym przedstawicielem postępowej inteligencji warszawskiej końca XIX wieku. Jego esej *Praca u podstaw* był jednym z fundamentów, na którym kształtował się pozytywistyczny system wartości. W opowiadaniach Świętochowskiego widoczne jest silne zacięcie dydaktyczne.

© Świętochowski A.

© Public Domain

Aleksander Świętochowski

Karl Krug

Od czasu jak pożądlivi dziennikarze nasi porobili rozmaite zabory geograficzne i n. p. bawarskie *München* już nie **Monachium**, ale polskim **Mnichowem** mianować zaczęli, straciłem żal do Niemców, że tak niezdarnie **Mysłowice** szląskie przechrzcili na *Myslowitz*. Ale za to nie przebaczę im nigdy, że poczciwemu **Karolowi Krukowi** bez przyczyny kazali być **Karlem Krugiem**. Wprawdzie urodził on się na ich nowonabytym gruncie, mowy ojca swojego nie wiele pamiętał, z niemką się ożenił, ale niepokalaną trzeźwością wcale na to nie zasłużył, ażeby go *Krugiem*, to jest **dzbankiem** złośliwie nazywano. Nazwisko to dokuczalo mu zwłaszcza w ustach burzliwej żony, która co rok jesienią, ile razy biedny mularz z małym zarobkiem do domu wrócił, zawsze go o tajemne stosunki z **dzbanem** posadzała. Bogu, a jeszcze lepiej portyerowi kolejowemu było wiadomo, że Krug nawet ofiarowanego kufelka często unikał, ażeby nie utopić w nim groszów, które z bojaźni dla żony a z miłości dla dzieci starannie w kieszeni dusił. Szczególniej zaś, gdy zbliżająca się zima kielnię mu z rąk wytrąciła i włożyła w nie tkackie cewki, któremi odzwyczajone przez lato palce na wyżywienie licznej rodziny starczyć nie mogły, przerażony obawą głodu mularz chował zarobione pieniądze ze skąpstwem wiewiórki, kryjącej w dziuple zebrane orzechy. Wtedy żałował sobie nawet szczypty tytoniu do fajki i raz ją nałożywszy w południe, ssał do wieczora drewniany cybuszek, zapalając tylko co chwila wygasły popiół i wyciągając dym z przymieszanych do niego węgielków. I ta wszakże przyjemność wydawała się jego połowicy zbytkiem.

– Czemu ty sobie szczeciny z pod brody nie skubiesz i nie palisz? – wołała ona, uderzając się grubą ręką w kolano. Ja nie mam przy czem duszy zagrzać dla wyprasowania bielizny portyerowi, a on mi ogień ciągle rozgarnia.

W lecie Krug uśmiechał się dobrotliwie na te wyrzuty, w jesieni brwi marszczył, a w zimie siadał spokojnie do krosien, ale wkrótce, upatrzwszy sposobną chwilę, wymykał się z domu i szedł do swego przyjaciela portyera, myśląc zapewne przez drogę, że nawet za korzec suszonych śliwek i cały bok wieprzowego schabu nie dałby sobie ogolić a tem mniej wyskubać włosów, które mu, od dwudziestu lat starannie przystrzygane, na szczękach i podbródku gęsto porastały i tworzyły owe charakterystyczne ramy, w jakie się z upodobaniem oprawia każde niemieckie oblicze. Portyer stacyi myśłowickiej Franz Klotz (dawniej Franciszek Kłos) najskuteczniej koił troski Kruga nie tylko dla tego, że jako były konduktor, a obecny wielbiciel jego żony, która mu w zamian za tę miłość tanio bieliznę prała, rozbrajał jej gniew na męża, ale nadto jako urzędnik, koło którego koleją żelazną przepływała fala ludzi, najprędzej mógł się dowiedzieć o zajęciu dla próżnujących nieraz rąk mularza. Trzeba nawet na pochwałę jego przyznać, że z niezmordowaną skrzętnością wyszukiwał dla Kruga najodleglejsze zarobki i wtedy, o ile mu tylko pozwalała straż przy dzwonce, czuwał troskliwie nad bezpieczeństwem jego żony.

Rok 1877 rozpostarł nad życiem mularza myśłowickiego bardzo groźne chmury, gdyż na wiosnę pobłogosławił go piątym z kolei potomkiem a w połowie lata pozbawił roboty. Już w lipcu, kiedy Krug zwykle najobficiej napełniał pończochę talarami i kilka razy dziennie w oczach żony świeżym tytoniem napełniał fajkę, nie miał innego zajęcia prócz podmurowania małego mostku na stacyi. Szczęśliwszego roku byłby je ukończył w kilkanaście godzin, teraz włókł już przez tydzień, ociosywał starannie każdą cegłę, rozcierał aż do najdrobniejszych grudek wapno, badał szczegółowo jego gęstość, rozsmarowywał jak masło na chlebie, zbliżał się i oddalał, a często wzdychał, jak gdyby żałował, że krótki mostek nie ciągnie się aż do Wrocławia. Przedłużając robotę, spodziewał się ciągle, że lada chwila zawezwą go gdzieś do innej, przy której pozostanie aż do zimy i zyska tyle pieniędzy, że będzie mógł sobie podwatować kaftan, a małemu Fritzowi palto. Nareszcie podmurowywanie się skończyło. Krug wstał, obejrzał mostek troskliwie, podumał nad nim chwilę, zebrał sprzęty i udał się ku domowi. Idąc, kilka razy jeszcze spojrzął z oddali, czy robota jakiej poprawki nie

potrzebuje. Na nieszczęście nie dostrzegł w niej żadnego braku. Wartoby pomalować – szepnął. Kto go wtedy spotkał zgarbionego pod szaflikiem wapna, z młotkiem i kielnią, z wyrazem martwej troski w oczach, pomyślał niezawodnie, że człowiek ten idzie sobie grób murować. Czoło mu w zmarszczki nad nosem się sfałdowało, dwa doły policzków, nadmiernem ssaniem cybuszka wyżłobione, jeszcze bardziej wklęsły, skóra na twarzy przybrała ceglana barwę, którą posepnie zachmurzał cień daleko wystającego daszka czapki. O, w tej chwili byłby Krug chętnie pozwolił oskubać sobie podbródek i faworyty za pewną nadzieję roboty!...

Wszedł do izby bojaźliwie, nie spojrzawszy na żonę, która wśród rozłożonej i wyprasowanej bielizny portyera, z właściwą wszystkim gwałtownym kobietom namiętnością do skrupulatnego porządku, płukała głowę swego syna w szerokiej balii. Krug złożył w kącie narzędzia mularskie i zaczął wyciągać z za pieca jakieś drążki.

– Cóż to, zabierasz się do krosien? – rzekła tłumiąc gniew żona. – Pewnie za to w styczniu będziesz murował.

– Niema roboty.

– To zamuruj nam gęby, aby jeść nie chciały.

Krug nic nie odpowiedział i postawiwszy za piecem drążki, wyszedł. Jak zwykle w strapieniu, postanowił uciec do portyera. Właśnie zbliżył się do swego mostku, zajęty myślą, dla czego zarząd kolei nie potrzebuje szyn na cienkie druty wyciągać, gdy ujrzał idącego od stacyi przyjaciela. Klotz, zwykle sztywny w swym mundurowym futerale, żywo trząsał starokawalerskim ciałem, podkreślał wąsy i ciągle podnosił rękę, jak gdyby salutował przed jakąś niewidzialną dostojnością. Chociaż od dnia objęcia swego stanowiska tylko urzędowym przemawiał językiem, kto wie jednak, czy w tej chwili nie wrywały mu się z ust, wzruszeniem wyrzucone, polskie słowa. Krugowi serce radośnie zabiło: był pewnym, że przyjaciel niesie mu wiadomość o zyskowej robocie.

– Nie pójdziemy do Kanossy? Hę? – zawołał zdaleka.

– Gdzie? – spytał drżący mularz.

– Do Kanosy.

– A długo tam będzie zajęcia?

– Nie pójdziemy – Bismark powiedział wyraźnie.

Krug pochylił głowę, bo zrozumiał, że portyer zamiast nowiny mularskiej przyniósł mu polityczną.

– A nie słyszeliście tam...

– Słyszałem od jednego urzędnika z komory, że to katolikom bardzo się nie podoba.

Objasnić należy, iż Franz Klotz, jako katolik, mimo swej oficjalnej prawomyślności, był skrytym nieprzyjacielem religijnej polityki księcia Bismarka. Ponieważ zaś w miejscu urzędowania bał się swych pretensyi wyjawiać, do Kruga zaś jako współwyznawcy i przyjaciela miał zaufanie, więc dowiedziawszy się o zapowiedzi kanclerza, postanowił co prędzej oburzeniu swemu otworzyć bezpieczne ujście. Miał on przytem inny, bardziej prywatny cel: co była Kanossa – nie wiedział, słyszał tylko, że za nią katolicy mocno się gniewają; ponieważ zaś był polityczną wyrocznią niższej służby kolejowej, próbował więc, czy czasem mularz...

– Tak, tak, już nie pójdziemy do Kanossy.

– Już mostek podmurowałem – odezwał się Krug smutnie.

– Narodowo-liberalni klaskali księciu – mówił dalej portyer tajemniczo, zawróciwszy mularza do domu – ale konserwatyści szturgali się łokciami. My tu wszyscy jesteśmy bardzo niezadowoleni.

W tej chwili z za budki, którą mijali, ukazał się posługacz kolejowy.

– Nie pójdziemy do Kanossy! – krzyknął nagle Klotz do swego towarzysza z uradowaną miną, jak gdyby chciał być przez posługacza dobrze usłyszany i zrozumiany. Wszystkie stronictwa klaskały.

Gdy posługacz był daleko, portyer związał przerwana na chwilę nić swej politycznej opozycji.

- On duży, ale i nas dużo, pójdziemy i wstrzymać się nie damy. Już dostał naukę. Jakiś hrabia katolik miał się z jego córką żenić; teraz ją porzucił. Albo to wszystko? A Francya!
- Roboty niema... przerwał Krug z westchnieniem.
- Ale będzie, będzie i to długa – szepnął Klotz; bez wojny się nie zaradzi.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.